

# Pistolet maszynowy thompson

Kapral podchorąży „Brzoza” był człowiekiem zwracającym na siebie uwagę. Zjawiał się pod gajówką, gdzie była siedziba naszego sztabu, między stacją w Wieliszewie a Poniatowem, po lewej stronie szosy wiodącej ku Warszawie, w dniu kiedy mieliśmy ruszyć na Warszawę. To był dzień koncentrycznego skupiania się żołnierzy „Koraba”. Ja należałem wtedy do dwudziestoparosobowej grupy, powiedzmy kadrowej czy stacjonarnej. Natomiast w związku z tą wyprawą zaczęli się zjawiać z różnych stron żołnierze „Koraba” z dookólnych miejscowości. Skąd przybył kpr. pchor. „Brzoza”, nie pamiętam. Natomiast zwrócił uwagę na siebie natychmiast. Zwrócił uwagę nie tylko tym, że to był kapral podchorąży, więc to nam imponowało, lecz także, że był taką żywotną naturą, nieokazale statury, ale właśnie ruchliwy, dynamiczny w ruchach i, powiedziałbym, nawet więcej niż pogodny, bo wesoly. Styl, w jakim mówił, był taki troszkę zawadiacki, troszkę radosny, że będzie o to coś wielkiego przed nami. No i jeszcze jedno: on przyniósł ze sobą jedyny pistolet thompsona, jaki był w naszym oddziale. Dobrze wyposażonym, ponieważ kilkakrotnie, mimo niewielu dni - ja trzykrotnie - zmienialiśmy broń na coraz lepszą. Po prostu nie było szansy na to, żeby zrzuć mogli obsłużyć cały trzeci batalion nieporęczny. Więc raz po raz mieliśmy nocne wyprawy do miejsc, gdzie zakopywano wielkie tuleje aluminiowe z bronią, amunicją, opatrunkami itd. i wydobywaliśmy broń coraz lepszą. Otóż kapral podchorąży „Brzoza” nie miał stena, tylko miał thompsona. Wiedzieliśmy o tym, a jeśli nie, to ja się później dowiedziałem już w regularnym wojsku, że pistolet thompsona o dużym kalibrze, zdaje się 12,2 mm, był właściwie konstrukcją gangsterów amerykańskich, nowojorskich, czy chicagowskich - nie wiadomo. I tę konstrukcję najpierw przechwyciła policja amerykańska, a potem udoskonaliła armia amerykańska. Skąd miał kpr. pchor. „Brzoza” tę broń, nie wiem. W każdym razie widać było, że jest „kims”.

I stało się tak, że kiedyś mieliśmy, to ja, zachwycony tym, że

to jest posiadacz tak wspaniałej broni, oddałem mu swoją lometkę. Nie musiałem jej mieć, a wyobrażałem sobie, że temu żołnierzowi bardziej się ona przyda. Tę lometkę znalazł przypadkiem mój przyszyły teść. Dał mi ją, kiedy miałem iść do lasu. Jak miała przebiegać trasa, dokładnie nas nie wtajemniczano. Ja przynajmniej nie wiedziałem. Szliśmy zatem nocą. Późnym wieczorem i nocą. W połowie sierpnia mrok zapada dość wcześnie. Poza tym dużą część drogi szliśmy w lasami. Więc mrok był do pewnego stopnia zgęszczony jeszcze tym. Szliśmy szykiem ubezpieczonym. Ludzi było 140 do 160. Tak to spęczniało na tę akcję. Nie dla wszystkich starczyło broni, chociaż było dużo amunicji. Toteż kilku silnych chłopców bez broni, w tym mój kolega zegrzyński Kazimierz Matysiak - później zastrzelony przez Niemców w Zegrzu Północnym - dźwigał ciężki plecak z amunicją, granatami, opatrunkami itd. Było takich więcej, może z pół tuzina chłopców. W mniemaniu, że to będzie nasze własne dla powstańców, że my się tam przedostaniemy.

Szliśmy szykiem ubezpieczonym i pamiętam, że w pewnym momencie przeszliśmy przez wąski mostek. Kładką nad ciekim. Potem szukałem tego miejsca na mapach, nawet szczegółowych, jednak nie umiałem rozpoznać, który to był strumyk. Zaraz za nim, kilkadziesiąt kroków, rozpościerała się wieś czy może przedmieście, ulicówka. Z lewej strony budynki, z prawej strony budynki i myśmy tak się rozstrzelili wachlarzem - lewe skrzydło, prawe skrzydło i środek wszedł w tę ulicę. Okazało się, było to około północy, że w chałupach kwaterują Niemcy, a dość wąska ulica między budynkami była zatarasowana przez pojazdy niemieckie, chyba nawet nie czolgi, bo te dałyby nam „szkołę”, lecz prawdopodobnie ciężarówka. Musiała to być jakaś formacja zmotoryzowana. No i doszło natychmiast do strzelania. Być może czujki niemieckie spostrzegły, że ktoś się zbliża, ale bodajże ogień otworzyli nasi chłopcy, ci właśnie, którzy szli w głąb ulicy. Ja byłem na lewym

**Tadeusz Witzka, profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, w czasie Powstania Warszawskiego żołnierz doborowego oddziału por. Konstantego Radziwiła „Koraba”, wspomina kpr. pchor. Jana Mazura „Brzozę” i nocną akcję na Bródnie w sierpniu 1944 roku.**



Kpr. pchor. Jan Stanisław Mazur „Brzoza”

skrzydle. Jakies poletka, zagonny z jarzynami czy warzywami i stały stogi w dodatku. Parę stogów bliźliutko nas. Podkreślam ten szczegół dlatego, że w pewnym momencie zaczęły w stronę stogów lecieć niemieckie pociski zapalające. Prawdopodobnie chcieli sobie oświetlić teren, bo jednak byli zaskoczeni. Zaskoczeni byli tak, że strzelania przeważała jednak z naszej strony, a co więcej, chłopcy bez broni palnej, tylko z zapasami granatów, zaczęli miotać granaty jeden za drugim. Tak zwane „sidołówki”, zapalające granaty, miał z nas każdy w kieszeniach po dwie. A tam były także granaty cięższe, chyba obronne, może nawet jeszcze z dawniejszych czasów. Granaty były może skuteczniejsze, jeśli idzie o wyplonienie Niemców, niż strzelanina, która na naszych skrzydłach też zaczęła się odzywać. Ja byłem na lewym skrzydle okalającym czoło tej miejscowości. Do dziś słyszę wyraźnie komendę oficera niemieckiego, najwyraźniej wołanie takie, spokojne raczej, ale głośne: „Alle raus!” Wtedy mogli wyskakiwać rzeczywiście z kwater żołnierze jak najszybciej. I potem druga komenda, też spokojna, bo to byli ostrzelani frontowi. W każdym razie zaczęli ostrzeliwać. Prawdopodobnie chcieli zapalić stogi, co się nie udało. A nie udało dlatego, że oni jednak byli pod gęstym ogniem naszych granatów. Ale nie było mowy o tym, żeby kontynuować marsz dalej, bo to było właściwie uderzenie w masę,

rzekibym pojazdów. I przyszedł rozkaz: „Wycofwać się”.

Skrzydła zaczęły się zbiegać do mostku na tym cieku. I przez ten mostek przeszliśmy. Zaraz za mostkiem słyszę, jak mój przyjaciel, ps. Kosa, Henryk Krysztowiak woła: „Lot! Gdzie jest „Lot”?”. To był mój pseudonim. Może był zaniepokojony, że mnie nie widzi. Nie wiedział, czy może trafiony zostałem. A wołał także dlatego, że on niósł na karabinach z jakimś opiętym płaszczem czy czym, taką opiętą płachtę - bo noszy nie było - niósł „Brzozę”. Dostał w łydke, chyba prawej nogi, ale tego już nie jestem pewien. Tylko pamiętam, że w łydke. Odłamkiem albo pociskiem. Nam się zdawało, że to był odłamek. I nawet zaczęliśmy szeptać, że może dostał odłamkiem naszego granatu. Gdzieś tam rykoszet, prawda itd. Słyszysz wołanie „Kosy”, zaraz się odezwał. Chodziło o to, żeby zmienić noszących. Ja niosłem „Brzozę” przez ileś tam setek metrów w parze z hrabią Grocholskim, chyba Adamem, młodym. Niemcy nie gonili nas. To było szczęście. Bo jakby ruszyły jakieś pojazdy pancerne, byłoby ciężko. Szliśmy i w pierwszych budynkach, paręset metrów dalej, zarekwirowano furmankę i konia u gospodarza. Weszliśmy tam na podwórze. Oddział szedł dalej, ale ci, którzy nieśli „Brzozę”, zatrzymali się właśnie tam. Pamiętam, że wtedy młody Grocholski zaczął od gospożyny mleka. Pić

się chciało... I szliśmy dalej, a wiedzieliśmy, że na zarekwirowanej furmance ma być kapral podchorąży „Brzoza” odwieziony do lekarza, który czekał w zamelinowanej stacji sanitarnej. Zabrano go. Pojechał z tą lometką. Co się stało z pistoletem, nie wiem. Ale pamiętam, że podczas akcji miał tego thompsona. On go nie puścił z rąk przecież. Taka broń była naprawdę wspaniałym, lakomym kąskiem. Potem szliśmy marszem ubezpieczonym z powrotem do lasów nieporęcznych. W bardzo ryzykownej sytuacji, bo zrobiło się jasno, a myśmy szli długim węzłem po otwartych polach. Dodam, że ta haratani- na z Niemcami trwała od dwunastej do pół do pierwszej w nocy. Tak czy inaczej, doszliśmy mimo tego, że kolumnę ludzi idących polami mogli zauważyć Niemcy. Myśmy przecinali nawet druty pastwisk, żeby się jak najszybciej przedostać.

Kapral podchorąży „Brzoza” znikł z mojej świadomości. Załowaliśmy, bo to był jedyny ranny z naszego oddziału. W pierwszych dniach sierpnia 1945 roku znalazłem się we Włoszech, w drodze do korpusu me. Andersa. Już taki zdeklarowany, po różnych obozach w Niemczech. I na miesiąc zimowy z 1945 na 1946 rok zesłaliśmy z gór, z kwatery w opuszczonym klasztorze, do miasta, gdzie też kwaterowaliśmy w klasztorze żeńskim w połowie. Miejscowość nazywała się Ešanatoglia. Mia- steczko takie sobie, w Abruzzo, w dolinie. Tam kwaterowaliśmy przez zimę. Pewnego dnia zjawił się oficer bez przydziału, chyba porucznik. Być może był to przedwojenny oficer, który brał udział w Powstaniu Warszawskim. Zjawił się dość późno w 2. Korpusie, więc był kłopot. Nie było pieniędzy, i przydzielono go do naszej kompanii do chwili wyjaśnienia sytuacji czy znalezienia jakiegoś miejsca pełnienia służby. Mnie wtedy oderwano od rkm-u, nad czym bardzo bolałem i skierowano do kancelarii 2. Kompanii w 2. Warszawskiej Dywizji Pancerniej. Bo byłem gramotny i miałem dwie klasy gimnazjum. Pamiętam do dziś, jak sierżant Śliwa powiedział: „Będziecie w kancelarii, a

nie przy Brenie”. Otóż ten oficer był w tej kancelarii. Czasem rozmawialiśmy o Powstaniu. I ja opowiedziałem mu o tej akcji i także wspominałem kaprala podchorążego „Brzozę”, nie znając imienia bądź nazwiska. A on mi wtedy mówił: „A ja go znałem. Proszę pana, on po tej ranie przedostał się przez Wisłę i brał udział w Powstaniu”.

To wspomnienie prof. Tadeusza Witzki nagrałem 1 września 2009 r. na tarasie kasyna oficerskiego w Zegrzu, po uroczystości nadania miejscowemu gimnazjum im. Konstantego Radziwiła. Kpr. pchor. Jan Mazur „Brzoza” był rodzonym bratem mojej mamy. W wyniku komplikacji zdrowotnych, spowodowanych również powstańcżą raną, zmarł 30 października 1944 r. w Błędowie. Pochowany jest na cmentarzu w Chotomowie. Wbrew przypuszczeniom prof. Witzki, „Brzoza” nie został trafiony w łydke odłamkiem własnego granatu. Inny żołnierz oddziału „Koraba”, prof. Stefan Liwski „Topola”, dowiedział się od samego Jana Mazura, że podczas nocnej akcji na Bródnie został on trafiony w nogę niemieckim obcętym pociskiem typu dum-dum. Moja mama pamięta, że po wojnie w jej domu rodzinnym zachowały się kalesony, które jej brat miał na sobie w chwili, gdy został ranny. Miały one pojedynczą, postrzępioną dziurę na wysokości łydki. Nie dowiem się już, czy „Brzoza” przepłynął Wisłę i wziął udział w walkach powstańczych w stolicy. Prawdą jest jednak, że świetnie pływał. Kiedy przed wojną rodzina Mazurów mieszkała na kresach, pokonywał pływając rzekę Wilię. 18 września 1944 r. uratował od śmierci trzech żołnierzy AK, co potwierdza pisemna relacja „Topoli”. Nie wiadomo jednak, co robił „Brzoza” od połowy sierpnia do 18 września. Z powodu rany kulał, ale swobodnie się porusza. Byłoby co najmniej dziwne, gdyby ten energiczny, wręcz palący się do walki chłopak przesiedział beczynnie pół Powstania.

Piotr Chróściel, członek zwyczajny Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej